Skutecznie bronię się przed światem

BARBARA KRAFFTÓWNA wraca na polską scenę. 20 listopada w Teatrze Narodowym wystąpi w monodramie „Błękitny diabeł". Okazja niecodzienna – 60 lat pracy artystycznej

Dlaczego na jubileusz wybrała pani akurat monodram opisujący ostatnie lata życia Marleny Dietrich?
Barbara Krafftówna: Młody, utalentowany autor Remigiusz Grzela przeprowadził kilka lat temu serię rozmów z sekretarką Dietrich. Notatki posłużyły do napisania dla mnie monodramu – formy, której zawsze unikałam. Aż dopadła mnie w finale drogi zawodowej... Na scenie zawsze potrzebuję partnera. A monodram jest studium psychologicznym człowieka samotnego. Miałam szczęście zetknąć się z Józefem Opalskim, który współreżyserował ze mną przedstawienie. Jego czujność i wrażliwość są bliskie moim. Opalski zaakceptował moją wizję postaci i pomógł mnie otworzyć. To spotkanie jest przypadkiem, ale ja wierzę w Anioła Stróża, który nade mną czuwa...

Co panią zafascynowało w postaci Dietrich?
Nie muszę się fascynować cudzą biografią, mam własną, nie mniej interesującą. Chwilami nie wierzę, że tyle w życiu przetrwałam: wojnę, powstanie. I doczekałam czasów, kiedy jesteśmy wolnym krajem z otwartą granicą.

„W sztuce satysfakcjonuje mnie mój ponadprzeciętny zmysł obserwacji, który wyrobiła we mnie matka, który później ćwiczyłam w szkole i przełożyłam na zmysł aktorski" – powiedziała pani w jednym z wywiadów.
Mój syn uważa, że mam żabie oko i widzę wszystko dookoła. Małe dziecko rejestruje wszystko, co znajduje się w jego otoczeniu: barwy, dźwięki, sposoby poruszania się. Matka od wczesnego dzieciństwa uczyła mnie obserwacji przyrody i ludzi. Ta wiąże się z kolei z analizą i porównywaniem, czego uczył mnie Iwo Gall. W Studiu Dramatycznym zyskałam świadomość ciała i umiejętność operowania nim w zderzeniu ze światłem i ruchem w przestrzeni. Ale na aktorską technikę pracuje się całe nasze życie. Trzeba ją trenować jak mięśnie, aby nie zwiotczała.

Największe sukcesy odnosiła pani w spektaklach według Witkacego, Gombrowicza, Ionesco, Mrożka.
Kiedy władza pozwoliła grać Witkacego i Gombrowicza, przewaliła się cała epoka w teatrze. To było jak lot w kosmos. Dramat absurdu wyodrębnia się z przyjętych kanonów, autor przyjmuje własną formę i styl, niezwiązane z konkretnym czasem. Witkacy tworzył rzeczywistość słowem i równocześnie jako malarz budował obrazy, które urucha-

Wciąż jestem nienasycona życiem – mówi Barbara Krafftówna

KRAFFTÓWNA *Artystka spełniona*

Polskie kino zawdzięcza jej jedną z największych kreacji w swoich dziejach – rolę Felicji w **„Jak być kochaną"** Wojciecha Jerzego Hasa (na zdj.). Wielki reżyser uczynił z niej jedną ze swych ulubionych aktorek. Talent artystki doceniał także Andrzej Wajda, pamiętamy ją z **„Popiołu i diamentu"**. Polski teatr znalazł w niej idealne wcielenie bohaterek awangardy. Była lwoną w prapremierze dramatu Witkacego, zagrała też z sukcesem w **„Kurce wodnej"** i **„Janie Macieju Karolu Wścieklicy"** w reżyserii Wandy Laskowskiej, a także w **„Matce"** Erwina Axera. Pamiętną rolę u boku Tadeusza Łomnickiego stworzyła w **„Play Strindberg"** Dürrenmatta. Reżyserował Wajda.

Była jedną z twarzy **Kabaretu Starszych Panów**. Obok wielu wspaniałych piosenek śpiewała jeden z evergreenów Wasowskiego i Przybory – **„W czasie deszczu dzieci się nudzą"**...

miały się w jego wyobraźni. Pracowałam z ludźmi tkniętymi palcem bożym. To jest potężna inspiracja w pracy i w czasie grania. Dzięki niej pojawiają się obrazy, których nie wyprodukuje najwrażliwszy mózg artysty.

Stworzyła pani wielką rolę w filmie Wojciecha Hasa „Jak być kochaną". W teatrze takie partie panią omijały.
Zawsze byłam spełniona jako aktorka, nigdy nie marzyłam o konkretnej roli. Charakterologicznie jestem otwarta na komedie. To wiąże się z moim wychowaniem, pełnym temperamentu sposobem bycia i radością życia, którym wciąż jestem nienasycona.

20 lat pobytu w USA bardzo panią zmieniło?
Za oceanem wszyscy są żądni pracy. Żona dyrektora teatru – bardzo dobra aktorka – przychodziła rano i brała mokrą szmatę, żeby umyć podłogę przed próbą. Aktorzy są natychmiast gotowi do grania, nie dojrzewają do roli miesiącami jak w Polsce.

Porusza panią to, co dzieje się w sztuce w ostatnich latach?
Jestem zmęczona chaosem propozycji artystycznych, ale wiem, że tego nie da się uniknąć. Niektóre z nich przyjmuję, inne odrzucam. Zadziwia mnie, jak łatwo większość z nich zapominam. Może w zalewie wiadomości brakuje nam zdolności selekcji? W Stanach obejrzałam wystawę spreparowanych ludzkich zwłok – „Świat ciała" Güentera von Hagensa. To nie ma nic wspólnego z widokiem trupów, który pamiętałam z wojny. Von Hagens powiększa ciała, przekomponowuje je w sensie malarsko-rzeźbiarskim. Eksponaty przypominały różnorodne manekiny. Dowiedziałam się dzięki temu, jak doskonałą formą plastyczną jest człowiek. Zgodziłabym się na wykorzystanie mojego ciała po śmierci do zgłębienia tajemnicy nauki. Proszę bardzo, jeżeli ja już z niego nie korzystam...

Lubi pani dzisiejszy świat?
Przed niektórymi jego aspektami skutecznie się bronię. Nie mam telefonu komórkowego. Dbam o higienę swojej duszy, dlatego od 10 lat nie mam telewizora w domu. A jeśli chodzi o zawód, w stosunku do dzisiejszych czasów jestem chyba zbyt pokorna. Nigdy nie byłam ogłuszona sukcesami ani nie miałam zapędów gwiazdorskich. Przyjaciele uważają mnie za dziwaczkę.

W „Błękitnym diable" występuje pani w ulubionych drewniakach. Tych samych, w których grała w 1947 roku w gdyńskim „Jak wam się podoba" Szekspira...
Jestem dziwaczką-zbieraczką. Kolekcjonuję różne przedmioty. Te teatralne drewniaki są moją własnością. Pamiętają jeszcze okres okupacji. Po wojnie występowałam na scenie we własnym obuwiu. Teraz, po 60 latach od debiutu, ponownie wychodzę w nich na scenę.

Rozmawiał Michał Smolis

fot. ELŻBIETA ŁUKASZEWICZ, DEFI